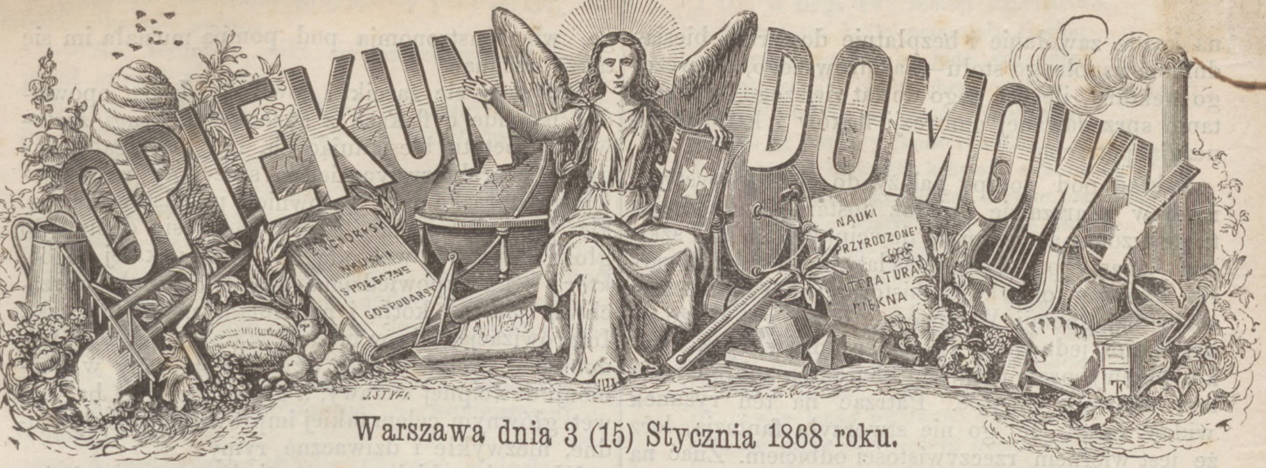


Warszawa dnia 3 (15) Stycznia 1868 roku.

Nr 2. | Cena w Warszawie 20 kop. miesięcznie.—Cena na prowincji w opaskach 75 kop. w kopertach Rs. I. kwartalnie. Redakcja i Ekspedycja Główna przy rogu ulicy Leszno i Solnéj pod Nr. 715. | Rok IV.

ŚNIADANIE POD POMPĄ.

Obrazek miejski

przez

Wołodego Skibę.

A najprzód ku czci etymologów i wszelkiego rodzaju purystów, jako też niby puklerz przeciw krytykom, którzy by nam nieznajomość przedmiotu zarzucić mogli, gdyby im jakim niespodziewanym przypadkiem przyszło na myśl dopełnić obowiązku zajmowania się tem co się w pismach perjodycznych drukuje, powiedzmy, że słynna restauracja pod gołem niebem na rynku Starego Miasta Warszawy, w języku potocznym naszego grodu nosi nie jedno ale dwa nazwiska.

Jedni ją nazywają zakładem gastronomicznym *pod słońcem*, a drudzy traktjernią *pod pompą*.

Nie ulega wątpliwości, że gdyby w żyłach stołowników tej karmiodajni płynęła gorętsza krew południowców, przyjść by musiało pomiędzy nimi do żwawych sporów, a może i walki z powodu tej dwoistej denominacji, dzięki jednakże umiarkowanemu klimatowi naszemu, stronnictwa słonecznych i pompatycznych żyją z sobą w jak najlepszej harmonji i rozumieją się wzajemnie, choć odmiennemi nazwiskami miejsce swych posilnych zebrań nazywają.

Co do nas obstajemy za pompą, a to nie tylko dla pięknego brzmienia tego wyrazu, ale głównie dlatego, że słońce nie codzień wychyla z po za chmur swoje promienne oblicza, ażeby się przypatrzyć odbywanym na rynku staromiejskim biesiadom—więc nie ma prawa służyć im za godło, gdy tymczasem pompa nie tylko tam stoi bez przerwy, ale nadto



Sniadanie pod pompą (podług szkicu ś. p. Jana Piwarskiego).

na każde zawołanie i bezpłatnie dostarcza biesiadnikom wspólnego stołu—najzdrowszego, ożywczego nektaru, ilekroć tego do łatwiejszego spożycia tanio sprzedawanej ambrozji flaków i kapuśniaku uczują potrzebę.

Zakład pod pompą należy do charakterystycznych w Warszawie i nieraz dostarczał przedmiotu pisarzom i artystom do dowcipnych uwag i szkiców. Zgasły przed ośmioma laty Jan Feliks Piwarski wyborny ołówkowy historjograf współczesnej sobie fizjognomji Warszawy, obrał go także za przedmiot jednego ze swych rysunków, i jak zwykle przewybornie uchwycił charakter zebrań jakie tam miewały miejsce. Patrząc na ten rysunek widać zaraz, że go nie stworzyła fantazja, lecz że jest wiernem rzeczywistości odbiciem. Znać na nim tylko, że kilkanaście lat upłynęło od czasu jak był zdejmowanym, a przez te lata fizjognomja miasta, jego murów i ludzi zmieniła się cokolwiek, jak wszystko z czasem się odmienia. Ztąd ten obrazek jest podwójną pamiątką i codzień bardziej przywiązuje się do niego ta cena wspomnieniowa, jakiej dzieła sztuki, których prawda życiowa—obecna chwila jest przedmiotem, z upływem czasu nabierają.

Chcieć po ołówku Piwarskiego opisywać słowami ogólną fizjognomję garkuchni pod pompą, byłoby błędem, którego się dopuszcza niejeden pisarz zapominający, że pióro nie jest pędzelkiem. Pokusić się na coś podobnego nie mamy zamiaru, opowiemy tu tylko z wspomnień współczesnych epoce powstania obrazku nieodżałowanego artysty i professora, historją z wielu względów prawdziwą, pewnego śniadania pod pompą.

Było to więc przed kilkunastą laty w dość chłodny dzień zimowy, kiedy daszek pompy staromiejskiej pokryty był grubą płachtą śniegu, a z czterech stron jego okapu wisiały sople lodu zupełnie jak na Piwarskiego pierwszostronnym obrazku.

Kilku młodych ludzi przechodziło przez Stare Miasto. Nie wiemy na co dziś powychodzili, czy który znich w jakim kantorze kupieckim nie ślęczy nad summowaniem ogromnych kolumn cyfr, lub nie redaguje stereotypowym stylem handlowym korrespondencji w języku niemieckim, czy inny ówczesnego zapału nie wyziębił do dzisiaj nad prowadzeniem książek meldunkomych, czy jaki inny wreszcie nie ograniczył swoich marzeń ówczesnych do guwernerowania gromadce niesfornych dzieciaków—dość, że w owym czasie wszyscy ci młodzi ludzie aspirowali na artystów pióra, pędzla i ołówka, że w piersiach ich naówczas wrzało zycie, gotowała się nadzieja i że ten zapał sił młodzieńczych, kipiał często pełnym werwy dowcipem i przelewał się niekiedy w hulanki i birbantki, które nieraz przymusową oszczędnością, a czasem nawet kilkudniową chorobą przypłacać było potrzeba.

— Młode piwko wyszumieć musi — mawiali o nich starsi, i nie kłopotali się zabardzo temi wybuchami i wybrykami młodości.

Gruppa młodych ludzi o której mówimy, składała się wyłącznie z takich reprezentantów szumiącego piwka.

Przedmiotem ich gwarnej pogadanki było to, co się nasunęło przed oczy, a że młode oczy są bystre i na wszystko w przelocie zwracają uwagę, więc gastronomja pod pompą musiała im się także nasunąć.

Posypały się żarciki i dowcipki. Jeden opowiadał legendę o flakach z aksamitem, drugi żartował z apetytu biesiadujących, inny zwracał uwagę na charakterystyczniejsze szczegóły różnobarwnego obrazka jaki stołownicy przedstawiali. Jakiś przyszły poeta ile razy mógł się dobrać do głosu improwizował odę na cześć pękatej Hebe, która z niewypowiedzianą gracją czerpała warząchwią jadło z kotła i napełniała niem miseczki. Improwizacja była w modzie w owym czasie w podobnych gronach, jako dźwięk konieczny w harmonji dowcipnej wrzawy, a główną zaletą, ba! nawet głównym celem takiej improwizacji—były trudne, niezwykłe i dziwaczne rymy.

W czasie takiej rozmowy jeden z grona, który jak twierdził miał zamiar zostać głębokim a oryginalnym myślicielem, odezwał się nagle:

— Panowie zrobiłem odkrycie!..

Wesoły gwar przywitał odezwanie się.

— Rozbieraj się i krzycz *eureka*, — wołał jeden.

— Odkrycie, wynalazek, uroczyściej imwencja, ztąd inwentarz *vulgo* bydło rogate i nierogacizna, —wtrącił drugi lubiący podobne wyrazowe igraszki.

— Wynalazłeś rym do warząchwi, którego mi właśnie potrzeba — zawołał improwizator, zmuszony przerwać swoją odę właśnie dla tego, że się zaawanturował i jednemu wierszowi dał warząchew za końcówkę.

— Nic łatwiejszego jak zrobić odkrycie żartował inny— pierwszy lepszy czapkownik co chwila odkrywa głowę...

— Odkrycie moje jest innego rodzaju panowie, odpowiedział na to wszystko odkrywca, —odkryłem i dowiodę, że my wszyscy jak tu jesteśmy, z całym światem i wiekiem dziewiętnastym w dodatku, jesteśmy ciemni jak tabaka w rogu i niezdołaliśmy się otrząść z najśredniowieczniejszych przesądów.

Całe towarzystwo rozumiało doskonale, że ten wstęp uroczysty zmierza do jakiegoś dowcipu, mimo to zaprotestowano chóralnie.

— Oponuję w imieniu dziewiętnastego wieku.

— Apeluję do opinji publicznej.

— Nazywam cię bluźniercą, jeżeli nie dowiedziesz założenia.

— Powiedział że dowiedzie, dajmy mu głos, panowie.

— Co mu po głosie — zaprotestował improwizator, — wznieśmy mu pomnik z napisem: „Wynalazcy ciemnoty dziewiętnastego stulecia.”

I niezważając że się znajdowali na ulicy, wszyscy kołem otoczyli odkrywcę, który poważnym głosem zaczął następną przemowę:

— Za pozwoleniem. Będę mówił krótko. W średnich wiekach ludzie bali się strachów — był to przesąd. Nikt o północy nie poszedlby na cmentarz bojąc się dydka...

— Dydko po małorusku djabeł — wtrącił etymolog.

— Nie przerywać, — zawołano do koła.

— Bojąc się dydka na słomiannych nogach, prawił dalej odkrywca — był to przesąd. Dziś tak jak dawniej strachów, boim się śmieszności...

— Paradoks.. nikt się jej nie boi...

— Boim się wszyscy — zakonkludował odkrywca, — ktoby zaś chciał mi zaprzeczyć, ktoby

twierdził że się tego dydka nie lęka, niech idzie na śniadanie pod pompę.

Wszyscy śmiechem przyjęli tę propozycją, ale ochotnika nie było.

— No, panowie, nikt się nie decyduje, — zapytał mówca po chwili.

Słowa te przyjęto milczenie; jedni spoglądali po drugich, żaden jednak nie miał ochoty wystawić się na śmieszność.

— Kiedy tak — zaczął znowu odkrywca, — to sprawa dziewiętnastego wieku przegrana. Zawołam raz, dwa, trzy, a jeśli nikt się nie stawi, ktoby w jego obronie chciał zjeść porcję kapuśniaku pod gołem niebem, w takim razie jednogłośnym okrzykiem zapiszemy moje odkrycie do liczbyprawd niezbitych, do rzędu pewników.

— Pewnik, aksjoma, ztąd oskoma, fałszywy apetyt na kapustę pod pompą, — komentował etymolog.

— A ja oświacie i chwale naszego stulecia zaimprowizuję *de profundis*, — oświadczył improwizator.

— A więc, panowie, baczność — rzekł wynalazca nowej prawdy, — zaczynam rachować... raz.. dwa...

Nim doliczył do trzech, jeden z otaczających go postanowił wystąpić w obronie współczesnej epoki.

— Hola panowie!.. protestuję... — zawołał, — nie lękam się śmieszności i pójdę jeść pod pompę, ale pod warunkiem...

— Pod jakim?..

— Że to nie będzie dzisiaj...

— A to dlaczego?...

— Bo w tej chwili nie jestem głodny.

— Ma racją! — zawołali niektórzy, — powód zasługuje na uwagę.

— Racja inaczej słuszność, — objaśnił etymolog, — czyli to, co się w wojsku codzień każdemu żołnierzowi daje do zjedzenia.

— A więc kiedy?...

— Jutro.

— Zgoda, Bronku — rzekł improwizator, — przystajemy. Jeżeli dotrzymasz słowa, potomność wzniesie ci pomnik...

— Pozwól — przerwał nazwany Bronkiem, — już drugi pomnik wznosisz od pięciu minut... miejsca wkrótce na Starem Mieście zabraknie...

— Pomnik, *exegi monumentum... exegi*, ztąd egzekwje, — zdążył wtrącić badacz języków.

Improwizator niezrażony przerwą, kończył swoje.

— Pomnik, którego piedestałem będzie pompa, a na którem jaśnieć będzie napis...

— Napis, inaczej tytuł... puryści zamiast pod tytułem mówią pod napisem.

Tak rozmawiając, wesołe grono postępowało dalej i wkrótce znikło w wązkiej S-to Jańskiej ulicy.

(*d. n.*)

KOBIETA.

,,Kobieto! córo Nieba, królowo, aniele!
Ozdobo świata, korono stworzenia!"
Tak cię zwą szałem owiani poeci,
Tak brzmią ich zwodne i czarowne pienia.
Czyż tyle pochwał,—zachwytu tak wiele,
Uczucia wstydu w twem sercu nie wznieci?
Ileż ci braknie do tego obrazu?
Jakąż być trzeba, by stać się aniołem?
By jak duch światła z promieniącem czołem,
Ogarnąć myślą i przeczuć od razu,
Swe wielkie, godne — ducha posłannictwo,
I tam u Boga swe znaleść dziedzictwo.
Ach! czy też która pomyślała chwilę,
Czy gnana szałem co ludzi tak mile
Spytała siebie, hołdy obrzucona:
Czem zasłużyła na cześć, uwielbienie?
Ludzie ją zowią piękności królową,
I jak przed bóstwem schylają swe czoło;
Lecz młodość, piękność, tak szybko przemija,
Z podmuchem wiatru uleci czcze słowo,
I przejdzie zapał—minie zachwycenie,
I cicha rozpacz, niby straszna żmija,
Zgasi twe wdzięki—a wtedy korona
Co ci świat włożył z zapałem na głowę,
Zmieni się dla cię w koronę cierniowę.
O siostry drogie! czyż warto dla tego,
By chwilę berło piastować zwodnicze
Poniżać piękność, zacność ducha swego,
By zaznać marne pochlebstwa słodycze.
O! aniołami by zostać na ziemi,
Słodką pociechę rozsiewać dokoła,
I serca jednać i rozjaśniać czoła,
Długie godziny dumajmy w cichości,
Bogu poświęćmy cichą pracę życia,
Wtedy duch światła, prawdy i mądrości,
Zstąpi do duszy i gorące bicia,
Serca naszego skieruje powoli
Ku wyższym celom; z moralnej niewoli
Wyzwoli ducha, da szczere pragnienie
Pokory świętej, oddali zwątpienie.
Wiaro! ty pierwsza niewiasty nauko,
Słodka i pewna każdego ochrono,
Ty nam przyświecaj jasno od poranka;
Twoich promieni cudowna równianka,
Droższa nad kwiaty wywołane sztuką.
Jaśniejesz cudnie, wspaniale, proroczo,
Słaby mężnieje pod Twoją obsłoną,
I biegnie do cię stęskniony ochoczo.
Wiarą jak tarczą uzbrój piersi twoje!
Przy jej pomocy wnet pojmiesz z łatwością:
Że sercem czystem i świętą miłością,
Połączysz ludzkość w nieprzerwane zwoje,
I świat podbijesz swą wzniosłą pokorą.
I będziesz braci pomocą, podporą,
Nie... tylko wiekiem poważna matrona,
Troskliwa matka lub cnotliwa żona,
Spełnia tu godnie swoje przeznaczenie;
Każdej z nas wolno w zakątku domowem,
Dać zdrową radę—wesprzeć mądrem słowem,
Nawet gdy sama wśród obcych zostaje
Sierota biedna, gdy rzucić zmuszona
Strzechę rodzinną dla kawałka chleba,
Lub gdy jak matka w pośród dziatek staje,
Uczy jak tutaj żyć, pracować trzeba,
I ku spłakanym wyciąga ramiona,
I pracą swoją szczerą i serdeczną —
Skarbi dla siebie tu szczęśliwość wieczną.
A gdy minęły już dawno te czasy
Gdzie przesąd kazał, by słaba kobieta
W nieświadomości pędziła swe życie,
Tak jak przebrzmiała ta piosnka po świecie;
Że najważniejsza płci naszej zaleta:
Jest piękność i wdzięk—dzisiaj pogląd nowy,
Serce i rozum mieć pragnie w niewieście,
I myśli zdrowe — o! ale się strzeżcie
Pychy i dumy, ona swe okowy
Na tych zakłada, co w zwątpienia chwili

Z drogi mądrości samochcąc zstąpili.
Nauko! życia pociecho, osłodo!
Ty nas przybliżasz do światła i Boga,
Tyś naszych cierpień najmilszą nagrodą,
Tyś przyjaciółka, towarzyszka droga
Złamanych ciałem, a silnych na duszy.
Twa moc ciemnoty jarzmo ciężkie kruszy,
Ty mądrość łączysz z dziecięcą prostotą,
I dajesz ludziom minę szczero złotą,
Nie wyczerpaną nigdy nie zużytą,
Promieniem światła dokoła owitą.
Ciesz się kobieto! bo i dla cię świeci
Nauki słońce—módl się, pracuj szczerze,
Troski swe Panu oddawaj w ofierze,
I jak kapłanka miłości, pokory,
Jak cicha drużka swych braci niedoli,
Pocieszaj innych chociaż serce boli,
W religji świętej szukaj twej podpory,
Świat cię nie nazwie ozdobą, królową,
I rzucać kwiatów w twe ślady nie będzie;
Lecz jasna łezka co zaświeci w oku
Twojego brata, zamienić w tronową
Salę złocistą, twe skromne zacisze,
Doda ci blasku, świętego uroku,
I szczęście trwałe wyjedna ci wszędzie,
Rzewną tęsknotę duszy ukołysze
A jasny, święty, twój anioł stróż Boży,
Palmę zasługi—u stóp twoich złoży...

Anna S.

KUKUŁKA.

(Fraszka).

(Ciąg dalszy.—Patrz Ner 1).

Resztę dnia był pan Piotr mocno zamyślony. Chodził po izbie i w głowie coś układał. Wyjął ze skrzynki kilka arkuszy papieru i coś w nich czytał.

Potem wyszedł do ogrodu. Skierował kroki do owego historycznego jesionu. Jesion stał śród gęstwiny. Pan Piotr przedarł się przez gęstwinę aż do pnia i wkoło z uwagą rozpatrywał się. Mianowicie przystęp do dziupła drzewa dojrzał starannie. Uśmiechnął się nareszcie i pokiwał głową.

Wieczorem przyszedł Symforcio jak zwykle. Pan Piotr gościnnie uścisnął mu rękę i kazał Filipci usmarzyć całą kiełbasę na maśle. Potém posłał ogrodniczka z dużym dzbanem po piwo, a po drodze kazał mu wstąpić po Pawła, aby go na wieczerzę zaprosić.

Jakkolwiek niemiłe to wrażenie sprawiło na kochankach, przyzwyczajeni jednak do kaprysów ojca, uśmiechnęli się do siebie na znak, że do czasu i na to zgodzić się trzeba.

Przy kiełbasie i piwie mówili kochankowie o swojej przyszłości. Symforcio marzył, że raz w życiu rozstanie się już z tą nieśmiertelną kiełbasą, z którą pan Piotr zawarł sojusz po wieczne czasy i złem piwkiem cienkiem, używanem tylko po najodleglejszych przedmieściach. W fantazji swojej widział przed sobą olbrzymi samowar, filiżanki z porcelany, kapłona studzonego i kanapki z kawiorem! O wszystkiem tem opowiedział już nieraz Filipci, która wzdychała również do zmiany stanu, a może nawet mniej niżeli do serca kuzynka!...

Pan Piotr z całą uroczystością zajadał dzisiaj kiełbasę. Jakoś zerkał na Symforcia i Filipcię. Jakiś uśmiech złośliwy wił się mu wtedy koło sinych wąsów. Patrzał zaś na Pawła, który smutny i zadumany koło niego siedział, miał w oczach jakieś dziwne, melancholijne wzruszenie.

A gdy z misy ostatni kęs kiełbasy zniknął, powstał pan Piotr i uroczyście się odezwał:

— Kochany sąsiedzie Pawle. Zaprosiłem cię do siebie, bo taki był obyczaj dawny, aby w domu nic ważnego bez sąsiada nie robić. Oto krewniak mój, pan Symforjan upodobał sobie dziecko moje i zapewnie chce przyklęknąć na stopniach ołtarza. Nic nie mam przeciwko temu. Szczęście mego dziecka góruje u mnie nad wszystko, ale nie mogę pominąć dawnej domu naszego tradycji, która w ważnych wypadkach każe się pytać kukułki mieszkającej od kilkuset lat w dziuple jesionu, który znacie doskonale. Wyrocznie jej były tak trafne, że idąc za jej radą, nigdy mi ani buraki, ani cebula nie chybiły. Spodziewam się że sprawa mojej Filipci, to więcej niżeli cebula a nawet kalafiory!... Otóż zapraszam was wszystkich tu obecnych, abyście jutro o godzinie piątej przyszli do mego ogródka pod jesion, z kąd na moje pytanie padnie wyrok, czy Filipcia pójdzie za Symforcia czy za innego.

Słowa te pana Piotra sprawiły wielką sensacją. Człowiek obawia się każdej chwili stanowczej, choćby był pewnym że go szczęście nie minie.

Najprzód Symforcio zakłopotał się i w końcu powiedział: że przy tak ważnym akcie nie może być obecnym, bo pryncypał jego w kancelarji o tej godzinie zatrudni go. Paweł zbladł ze zmartwienia, wiedząc, że ostatnia jego nadzieja zawisła na włosku.

Jedna tylko Filipcia miała oczki świecące. Była pewną, że kukułka to samo powtórzy, co jej już tyle razy wykukała!

— To akt ten ważny odbędzie się bez Symforjana, zakonkludował pan Piotr.

Nazajutrz był dzień piękny, pogodny. Lekkie białe chmurki żeglowały po Niebie. Filipcia wstała prawie o świcie i zbliżyła się do okienka, aby na Boży świat spojrzeć i coś o dniu dzisiejszym pomarzyć. Długo stała w okienku i przyglądała się tym białym chmurkom, żeglujacym po szafirowym niebie; były one zupełnie podobne do jej marzeń. Jedna z tych chmurek przedstawiała małą elegancką karetkę, druga podobna była kubek w kubek do Symforcia w krótkiej marynarce, a nawet miała niby lornetkę na nosie garbatym.

Serce jej uderzyło żywiej na widok tego co najdroższego miała w życiu. Nie mogła bowiem sobie wyższego świata do którego wzdychała inaczej wyobrazić, jak w krótkiej marynarce z lornetką na nosie. Wszystkie jej ideały które wyśniła na targu za Żelazną Bramą, również były tak samo ubrane... Patrząc dalej na Niebo, widziała znowu długą chmurkę, która zupełnie podobną była do najmodniejszej sukni z dwułokciowym ogonem. I tutaj żywiej uderzyło jej serce, bo przyszło jej na myśl jak kiedyś i ona z takim samym posuwistym ogonem chodzić będzie po głównej alei Saskiego Ogrodu...

Zaiste, były to piękne, dziewicze marzenia! Szkoda, że szczęście ludzkie jest tak kruche i niestałe!...

Pan Piotr również wcześnie przebudził się, a wstawszy odmówił pacierz i odśpiewał całą litanję do Najświętszej Panny na Jasnej Górze Częstochowskiej! Był to dla niego także dzień nie małej wagi, bo w dniu tym miał rozstrzygnąć o losie swego jedynego dziecka. Ufny jednak w wyroki Mądrości

Boskiej, z lekkiem sercem wypił kieliszek wódki i wyszedł do ogrodu aby roboty doglądać.

Dla Pawła był ten dzień najsmutniejszym w życiu. Biała twarzyczka Filipci i jej drobne rączęta tak przylgnęły do jego duszy, tak się tam rozgnieździły, że w żaden sposób nie mógł je ztamtąd wyplenić. Chciał się czemś zatrudnić; zaczął oczyszczać swój ołtarzem Przemienienia Pańskiego długo klęczał i modlił się gorąco...

I tak w różnym stanie uczuć, zastały wszystkich pierwsze godziny dnia dzisiejszego. O uczuciach Symforcia nic nie mogliśmy się dowiedzieć, bo spał do godziny dziesiątej, a potem gdzieś nam zniknął z oczu.



Rubens. (do strounicy 14).

ogród z różnych chwastów niepożytecznych, wszystko z korzeniem powyrywał, ale Filipci nie mógł z swej duszy oderwać!...

Otóż dzień dzisiejszy był dla niego dniem sądu Bożego. Dzisiaj miał się ostatecznie rozstać z swoją nadzieją, która jak każda nadzieja dotąd całkowicie go nie opuściła!...

Wstał więc rano, ubrał się staranniej niżeli zwykle i poszedł do kościołka parfjalnego i tam przed

Zwolna mijały godziny. Nadeszło południe, a praca w obu ogrodach spoczęła. Pan Piotr zbliżył się do parkanu sąsiada i zajrzał przez szparę; dziwnym wypadkiem spotkał się tam z okiem Pawła.

— Szczęść Boże Pawle! zawołał, a jak tam kalarepka u was?

— Dzięki Bogu, nie najgorsza! odparł Paweł.

Nastąpiło milczenie. Obaj sąsiedzi prawdopodobnie myśleli w tej chwili nad tem, jakby to było wygodnie i po chrześcjańsku, gdyby ten parkan nie stał

między niemi, i gdyby ich nie dzielił! Ale cóż robić, wyrok Boży!

— Coś parkan nasz zaczyna się krzywić, ozwał się po chwili pan Piotr i westchnął.

Parkan sąsiadów, niejaki czas powód sporów sądowych, był teraz wspólną własnością i wspólnym kosztem naprawiany.

— Zdaje mi się, że na przyszłą wiosnę trzeba reperacji, odparł smutno Paweł i także westchnął.

— Ach, ta reperacja już mi bokiem wyłazi! krzyknął p. Piotr i nasunął czapkę na bakier.

— I cień rzuca ta ściana z desek na najpiękniejsze truskawki, zauważył Paweł z drugiej strony.

— Dałbym na wotywę z wystawą i światłem, gdyby tego parkanu między nami niebyło!

— A ja zawiesiłbym na obrazie Matki Boskiej szczerozłote serce!

— A tak, każdy z nas dałby Bogu co ma najdroższego ale Bóg nie chce ofiary od nas! Bądźcie zdrowi Pawle, a niezapominajcie o godzinie piątej.

Paweł odpowiedział na to ale tak cichym głosem, że go stary Piotr dosłyszeć nie mógł. Rozeszli się obaj i wrócili napowrót do przerwanej w południe pracy.

Pan Piotr jednak nie poszedł do robotników, tylko chyłkiem przedarł się przez gęstwinę śliwek i ztamtąd jakby z kryjówki patrzał przez szparę w parkanie do sąsiada.

I widział, jak biedny Paweł skrył się również w gąszczu i tamże rzewnie płakał. I panu Piotrowi dwie łzy stoczyły się po siwych wąsach....

Wreszcie gdzieś tam w mieście zaczęły bić zegary i jeden po drugim wybił godzinę piątą.

Najprzód w ogródku ukazała się Filipcia. W lekkiej sukience w zielone paseczki, z białym kwiatkiem w czarnych włosach, wyglądała prześlicznie; twarz miała mocno ożywioną, jakby niecierpliwie wyczekiwała obiecanego szczęścia. Oczka jej biegały żywe i świeciły się jak robaczki Świętojańskie.

Po niej przyszedł pan Piotr. Miał w ręku jakieś papiery; twarz jego była uroczysta, czoło zachmurzone. Zdawało się, że coś ważnego w jego duszy się odbywa. Koło ust jednak igrał uśmiech człowieka spokojnego, który wierzy że oko Opatrzności czuwa nad każdem najmniejszem stworzeniem.

Ostatni przybył Paweł. Miał na sobie świąteczną czamarę z pętlicami, bo zdawało mu się, że na wesele i na pogrzeb człowiek starannie ubrać się powinien. Twarz miał bladą, usta jakby z bolu zaciśnięte; po oczach widać było, jakby kilka nocy nie spał.

Gdy wszyscy troje razem się zeszli, podał p. Piotr w milczeniu rękę Pawłowi, a Filipcia zgrabnie dygnęła, jak to z za Żelaznej Bramy przez kraty Saskiego ogrodu widziała.

Wszyscy zwrócili się do starego jesionu, którego rozłożyste konary podobne były do olbrzymich, całą posiadłość pana Piotra obejmujących ramion. Był to olbrzym, którego wieki przeszłe zostawiły na straży ubogiego domku ogrodnika, aby ludzie złej woli nie mogli mu szkodzić.

Pan Piotr zbliżył się do jesionu z pewną uroczystością, jak się zbliża do pamiątek rodzinnych. Filipcia zaczęła cmokać językiem, aby kukułkę drzemiącą w dziuple dobrze usposobić. Paweł zaś miał gwałtowne bicie serca jakby rzeczywiście stanął przed straszliwym trybunałem, który ma wyrzeknąć o jego życiu lub śmierci!

Wreszcie odkrząknął pan Piotr, pokręcił wąsy i głosem donośnym zawołał:

— Ptaszyno czarna! Bóg posługuje się całem stworzeniem swojem. Otóż otwórz dziób twój i niech twoje kukanie oświadczy nam wolę Nieba, której zawsze ulegać powinniśmy!

Z dziupła jesionu ozwał się głos donośny:

— Ku-ku-ku-ku-ku!

Filipcia pokraśniała na twarzy. Kukułka rozkosznem swojem kukaniem okazywała jak najlepszy humor i dawała nadzieję, że życzeniom Filipci zadość się stanie! Pan Piotr pytał dalej:

— Powiedz mi ptaszyno czarna, czy ten próżniak i niedołęga Symforcio rzeczywiście Filipcie kocha?

Na to zapytanie nie nastąpiła zaraz odpowiedź. Zdawało się, że kukułka coś przy tak sformułowanem zapytaniu miała do namyślenia się. Filipcia zmarszczyła brwi, że ojciec Symforcia nazwał niedołęgą i próżniakiem. Ale przyzwyczajona była do podobnych słów ojca, gdy z nią sam na sam rozmawiał.

Pan Piotr powtórzył znowu zapytanie z tą samą dosadnością wyrazów. Wreście ozwała się z jesionu.

— Ku-ku.

Znaczyło to według klucza Filipci kocha!

Pan Piotr pytał dalej:

— Powiedz ptaszyno, czy ten sowizdrzał brukowy Symforcio, który dawniej biednego ogrodnika znać nie chciał, a wtedy dopiero przyszedł do niego gdy się dowiedział o krociach — czy ten łotrzyk modny kocha Filipcię, czy jej pieniądze!...

— Na miłość Boga! krzyknęła Filipcia, któż tak pyta: „Filipcię i pieniądze”, to wszędzie po trzy zgłoski! Ojciec nie umie pytać i pyta tak niegrzecznie!

— Dobrze moje dziecko, odparł pan Piotr... Fi-li-pi-nę, czy pie-nią-dze! *(d. n.)*

RUBENS.

Nieraz zapewnie czytelnicy moi, obiło się o uszy Wasze nazwisko Rubensa. I zaiste nic dziwnego, bo człowiek ten należy do najznakomitszych ludzi swojego czasu, a sława jego dopóty trwać będzie, dopóki sztuka malarska istnieć nie przestanie. Rubens bowiem był malarzem, a do tego malarzem niezrównanym.

Trzy miasta, to jest Siega (w państwie Nassau), Kolonja i Antwerpia, spierają się z sobą o miejsce urodzenia Piotra Pawła Rubensa—już to samo dowodzi jego wielkości. Ojciec jego był ławnikiem w Antwerpji, lecz skutkiem zaburzeń jakie natenczas w kraju panowały, zmuszony był błąkać się po świecie i podczas tej tułaczki przyszedł na świat syn jego r. 1577. Młody Rubens otrzymał w Kolonji staranne wychowanie, poczem wrócił do Antwerpji, gdzie zostawał czas jakiś w służbie pewnej hrabiny jako paź. Wkrótce jednak, nie mogąc się oswoić z tem życiem gwarnem i niemoralnem, porzucił służbę i oddał się sztuce malarskiej. Następnie, dla dalszego ukształcenia udał się do Włoch i przepędził tu siedm lat, na dworze księcia Wincentego Gonzagi.

Tu z zapałem studjował tak cudną Włoską ziemię oraz drogocenne zabytki przeszłości, kształcąc się przedewszystkiem na wzorach dwóch znakomitych malarzy: Tycjana i Pawła Veronese. Z Włoch zrobił wycieczkę do Hiszpanji, ztąd obsypany zaszczytami i podarunkami królewskiemi,

znowu wrócił do Mantui, gdzie stale przebywał. Choroba matki odciągnęła go do Antwerpji, ale nie zastał już jej przy życiu. Stratę tę tak boleśnie uczuł, że usunął się do pewnego opactwa i przez cztery miesiące tam przebywał, li tylko naukami i twórczością artystyczną zajęty. Po niejakimś czasie zawarł tu związki małżeńskie z Elżbietą Brant w r. 1609. Jak świetne prowadził natenczas życie, z tego wnieść można, że wzniósł sobie w Antwerpji okazały gmach, który przyozdobił najwytworniejszemi naczyniami, medaljonami, popiersiami i obrazami. Sprzedał go później za 400,000 złp. Do bogactw tych przyszedł Rubens własną uczciwą pracą i niezrównanym talentem. Zresztą miał on u spółczesnych sławę nie tylko znakomitego artysty, ale zarazem i męża doświadczonego, którego książę Albert na łożu śmiertelnem poleca swej małżonce za doradcę w ważniejszych kwestjach politycznych. Jakoż widzimy go w tym czasie zajętego najważniejszemi missjami politycznemi. Między innemi ułożył on warunki pokoju pomiędzy Hiszpanją i Anglją. Król angielski tak wysoko go cenił, że pasował go na rycerza— zaszczyt najznakomitsze tylko osoby spotykający. Wreszcie zakończył życie pełne chwały i rzetelnych zasług w r. 1640 w Antwerpji, gdzie i został pochowany w kościele świętego Jakóba.

Twórczość Rubensa była nadzwyczajną. Niektórzy utrzymują, że zostawił 4000 obrazów własnego pędzla; liczba ta jednak jest prawdopodobnie czterykroć razy wyższą od rzeczywistej. Lecz i w takim nawet razie nigdybyśmy pojąć nie mogli, jakim sposobem jeden człowiek takiej pracy mógł dokonać, gdyby wiadomem nie było, iż większe nadewszystko obrazy malował wespół ze swemi uczniami. Lubo i to jest rzeczą pewną, że największe nawet ołtarzowe obrazy kończył bez pomocy uczniów w 14 lub 16 dniach.

Sił swoich doświadczał on w rozmaitych rodzajach malarstwa i zawsze z najlepszym skutkiem. Zawdzięczał to nietylko swojemu wszechstronnemu talentowi, ale rozległej nauce i z wielkiej pracowitości. Utwory jego się odznaczały śmiałemi zarysami, wspaniałym i ożywionym kolorytem, oraz dramatycznością przedstawianych scen. Zarzucają mu wszakże brak wyższego natchnienia, zbyt realne przedstawienie przedmiotów, oraz ubieganie się za effektownością. Pomimo tych usterków, Rubens jest jedną z największych postaci w historji sztuki. On to podniósł szkołę belgijską, chylącą się w pierwszej połowie XVI wieku do upadku, a to przez wprowadzenie do niej pierwiastku naturalnego, zamiast wymuszonych i sztywnych żywiołów, jakie w niej dotąd panowały; on wreszcie wielkie zasługi położył w miedziorytnictwie, która to sztuka za jego przewodnictwem doprowadzoną została do wysokiego stopnia doskonałości. Najpiękniejsze jego obrazy znajdują się w galerjach drezdeńskiej, monachijskiej, wiedeńskiej i kasselskiej. Najznakomitszymi zaś z uczniów jego byli: Van-Dyk, Teniers Thulden, Hock, Diepenbeck i t. p.

Mścisław Kamiński.

KAMELEON.

Kameleon należy do rzędu gadów jaszczurkowatych. Nazwa jego pochodzi z greckiego: chamaï leon, co znaczy *mały lew* upatrywano bowiem kształtów lwa w tej małej jaszczurce, dochodzącej zaledwo do 9-ciu cali długości.

Szczególna własność zmieniania koloru ciała jaką ten gad posiada, stanowi jego sławę. W naszem też społeczeństwie porównywamy do niego ludzi, którzy z łatwością zmieniają swoje postępowanie i przybierają barwy sztandaru, pod który kolejno przechodzą. Aż nadto często, spotykamy taką giętkość charakteru czyli raczej brak wszelkiego charakteru. Nawet Kameleon nie jest do tyla zmiennym, bo nie przybiera koloru, otaczających go przedmiotów, jak go ogadano, zmienia się to prawda, ale sam z siebie w skutek swej natury.

Za przyczyny takowej Kameleona przemiany, naturaliści po różnych doświadczeniach i spostrzeżeniach wielokrotnie czynionych, podają: 1. Cienkość i przezroczystość skóry, którą we wszystkich kierunkach przerzynają naczynia włoskowate (kapilarne); 2. Krew czarniawą, nawet cokolwiek fioletową, mało utlenioną, z powodu że gady pomału oddychają. Gdy więc krew skutkiem stanu zdrowia lub namiętności zwierzęcia, naprzykład gdy ono jest w gniewie lub w obawie, napływa w większej lub mniejszej obfitości do naczyń włoskowatych skóry, stanowi zmianę koloru ciała, który ze stalowo popielatego —przyrodzonego tej jaszczurce, przechodzi w niebieskawy lub zielony. Tak samo się dzieje z twarzą człowieka: w gniewie poczerwienieje lub zsinieje, przestrach sprowadza bladość, żółć ulana: żółtość.

Niektórzy naturaliści jak Lineusz i Lacépede, podają jeszcze za jedną z przyczyn wpływających na Kameleona, stopień temperatury.

Drugą szczególną własnością tego zwierzęcia, są oczy duże i wypukłe, a tak osadzone, że każde z nich może się niezależnie od drugiego w różne strony poruszać. Płuca ma wielkie, wciąga znaczną ilość powietrza, którem się nadyma i powiększa swoją objętość, również dowolnie ją zmniejsza powietrze z siebie wypychając.

Kameleon ma głowę trójkątną, spłaszczoną po bokach; nogi długie, pięciopalczaste, opatrzone pazurami zakrzywionemi, co go usposabia do czepiania się po gałęziach, a chód po ziemi robi ciężkim, powolnym i niezręcznym. Przebywa też zwykle na drzewach w Ameryce południowej, w Indjach Wschodnich i w Egipcie. Głównem jego pożywieniem są owady latające, które chwyta z wielką zręcznością, za pomocą długiego a lepkiego języka. Równie jak inne gady, długo żyć może bez jedzenia. Robione doświadczenia okazały, że zdycha dopiero po czterech miesiącach ścisłego głodu.

Samica znosi na piasku od 8 do 12 jaj, gdzie się wylęgają za samym wpływem gorących promieni słońca.

Indjanie i Afrykanie lubią te jaszczurki i z przyjemnością widzą, gdy one gromadzą się około ich mieszkań; przerzadzają bowiem zbyteczną dokuczliwych much obfitość. Nigdy ich też nie zabijają, ale pomimo to wiele ich pada ofiarą od zwierząt drapieżnych, którym nie są w stanie się obronić. Łagodność cechuje Kameleona, można go trzymać w ręku, głaskać, nawet palec włożyć do pyska, a nie rozgniewa się i nie ukąsi, owszem bywa zwykle bojaźliwy.

Przywieziony do Europy, pozostaje w stanie chorobliwym i prędko zdycha. Egzemplarze sprowadzane do ogrodu botanicznego w Paryżu, miewają stale kolor zeschłego liścia to jest brunatno żółty, co oznacza że są cierpiące. Tylko na wolności odbywa się gra ich kolorów i zająć może oko badacza.

Białodrzew.

ROZMAITOŚCI.

— **Kradzież pieniędzy na wędkę.** Umysł ludzki podlega rozmaitego rodzaju chorobom, tak samo jak ciało. Niektóre z tych chorób są przerażające i straszne, lecz są w ich liczbie i takie, które mimowoli i pomimo całego politowania dla osób dotkniętych niemi, wywołują uśmiech na usta. Do takich należy *manja kradzieży*, objawiająca się niekiedy u ludzi, których położenie towarzyskie, zamożność, ukształcenie, charakter, wreszcie i zasady moralne, nie pozwalają ani na chwilę sądzić, żeby się dopuszczały przywłaszczania sobie różnych cudzych drobnostek, nie będąc pod wpływem choroby umysłowej. Godni litości i współczucia,

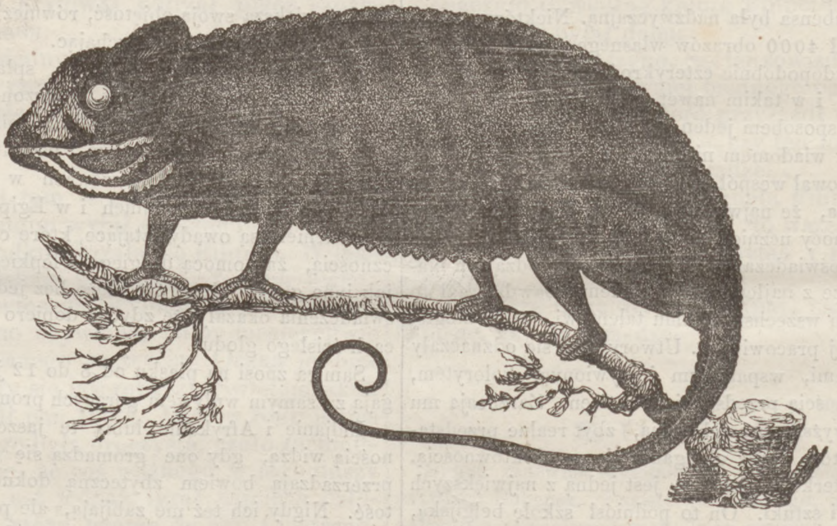
jedynie złodzieje podobnego rodzaju, przewyższają częstokroć professojonistów kradzieży zręcznością i przebiegłością swoich pomysłów.

Do cierpiących w ten sposób należy lady H...., bogata Angielka, wdowa po znanym w świecie politycznym mężu stanu, mieszkająca w Paryżu. Osoby przyjmowane przez nią w wytwornych salonach, należące do najwykwitniejszego świata, nigdyby przypuścić nie mogły, że ta pani bywała nieraz aresztowaną za kradzież przedmiotów, których wartość nie wynosiła nawet setnej części jej dziennego dochodu, za kradzież popełnioną na ulicy lub w sklepach, w których robiła sprawunki i że dopiero po przekonaniu się kim jest, oraz po zapewnieniu, że winą tego rodzaju postępków jest tylko choroba— uwalniać ją musiano. Ostatni wypadek takiego aresztowania przytrafił się pani H. przed niedawnym czasem, a sposób jakiego do spełnienia kradzieży używała, należy do najdowcipniejszych w swoim rodzaju.

Brała ona sztukę srebrną jedno frankową, przewiercała w niej dziurkę w bliskości brzegu i za pomocą tej dziurki uwiązywała ją na nitce cienkiego lecz mocnego jedwabiu. Zaopatrzona w taki przyrząd, wsiadała do pierwszego lepszego omnibusa i czatowała na chwilę, w której ktoś wydobędzie portmonetkę, ażeby zapłacić za miejsce. Wtedy schylała się, podnosiła niby z podłogi przygotowanego franka i oddawała właścicielowi portmonetki, jako niby upuszczony przez niego pieniądz. Zagadnięty w ten sposób, mógł myślić albo że mu się frank w istocie wysunął, albo jeżeli wiedział że go nie zgubił, mógł go chcieć łatwym sposobem skorzystać i nie przypatrując się sztuce monety zamykał ją do portmonetki i kładł z nią razem do kieszeni. Naówczas pani H. pociągając z lekka nitkę wysuwała całą portmonetkę, tak jak rybak wyciąga rybkę która połknęła robaka osadzonego na haczyku.

Przy jednym z takich połowów, portmonetka stawiła opór, właściciel jej chwycił za kieszeń, poczuł nitkę pod palcami, zajrzał następnie do pieniędzy i przekonał się, czem był w istocie ów frank, który z taką sumiennością oddała mu obok siedząca dama i tym sposobem podstęp odkrytym został.

— **Naiwność dziewczyny.** W Paryżu umarła bogata dama, przy której łożu czuwała świeżo do służby przyjęta dziewczynka. Zmarła, skutkiem jakiegoś szczególnego kaprysu, życzyła, by ją pochowano ze wszystkiemi jakie miała brylantami. Żądaniu jej stało się zadość, lecz od chwili gdy ciało włożono do trumny, młoda służąca wszelkiemi sposoby starała się pozostać w pokoju nieboszczki. Wzbudziło to podejrzenie, a mąż zmarłej zawiadomił nawet o tem komissarza policji, który, postawiwszy za drzwiami wartę, umyślnie kazał dziewczynkę jedną w pokoju zostawić. Ta naprzód obejrzała się w koło, następnie podeszła do nieboszczki i lekko podjąwszy głowę, zdawała się czemś zajętą wreszcie pocałowała rękę trupa i chciała wyjść. W tem pochwycono ją i przetrząśnięto, lecz nic nie znaleziono. Na umarłej również żadnego brylantu nie brakowało. Zapytano dziewczynki coby robiła u trumny? lecz ta nic nie odpowiadała. Podjęto wreszcie głowę nieboszczki i znaleziono przyszpiloną do poduszki karteczkę, którą dziewczynka pisała do niedawno zmarłej swej matki, radząc się jej zdania: czy ma wyjść za człowieka starającego się o jej rękę? Mniemała nieboga, że zmarła pani odda tę karteczkę nieboszczce matce na tamtym świecie.



Kameleon (do Str. 15-ej).

PODSŁUCHANE GDZIE SIĘ ZDARZY.

(*Na drugiem piętrze*).

Jedynak (*ośmioletni*). Mamo!!... a chce mama zrobić dobry interes?...

Matka (*do siebie*). Jaka to spekulacyjna głowa!... (*głośno*). Jakiż interes?...

Jedynak. Niech mama kupi odemnie te dziesięć pestek od śliwek za dziesiątkę.

Matka (*śmiejąc się*). A!... to ty chyba chcesz zrobić dobry interes, ale nie ja?...

Jedynak. To prawda.... jak mama kupi to ja zarobię dziesiątkę, ale mama na tem zarobi jeszcze więcej.

Matka. A to jakim sposobem?...

Jedynak. Bo jak mama nie kupi, to ja pestki popołykam, dostanę zapalenia kiszek i to mamę będzie jeszcze więcej kosztowało.

— Redakcja Opiekuna Domowego uznała za stosowne, aby wszystkim nowym rocznym *prenumeratorom* z Warszawy, którzy zgłoszą się wprost do Redakcji Opiekuna Domowego, wydać bezpłatnie komplet tego pisma z r. 1867 poczynając od Nru 8, w którym początek powieści pod tytułem: „*Dziwni ludzie*" się mieści, a w następnych 3ch kwartałach drukowane były powieści: *Osipowicza*, *Rollego*, *Skiby*, oraz powieść karpacka: „*Samobójca*," która powszechną na siebie zwróciła uwagę.

Nowi roczni prenumeratorowie z prowincji również mają prawo do otrzymania rzeczonego kompletu bezpłatnie, jeżeli zgłoszą się wprost do Redakcji i na koszta przesyłki rubla jednego nadesłać zechcą.

Pierwsze 7 Numerów Opiekuna Domowego z roku 1867 zupełnie wyczerpane zostały.

Dołącza się ścienny „Kalendarz illustrowany" na I-sze półrocze r. b.

w Drukarni J. Jaworskiego.—Za pozwoleniem Cenzury Rządowéj.—Redaktor, Adam Mieczyński.